

Stanisław

DYGGAT

Podróż



Stanisław Dygat

PODRÓŻ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-79-1

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Tekst: PIW, Warszawa 1981

Spis treści

[Przeklęta Wenecja](#)

[Siedem zdarzeń](#)

[Ósme zdarzenie](#)

[Małgorzata](#)

Przeklęta Wenecja

Odjeżdżałem z Rzymu smutny i nieswój. Nie tylko dlatego, że było mi żal opuszczać piękne miasto, którego już nigdy nie zobaczę, że żal mi było opuszczać starych i nowych przyjaciół.

Miałem uczucie cichej niechęci do Włoch, że nie spełniły moich nadziei.

Pociąg odjeżdżający z Rzymu w kierunku północnym jedzie przez miasto dosyć krótko i zaraz skręca za otaczające miasto pagórki.

Rzym znika z oczu w sposób niespodziany, pociąg wjeżdża w krętą dolinę pośród wzgórz, na których są licznie rozsiane wioski i miasteczka. Włoskie niebo rozpostarte nad tym wszystkim – i oto włoski krajobraz, opisywany tylokrotnie przez ludzi znajdujących się w stanie ostrego podniecenia wywołanego podziwem dla własnej wrażliwości.

Odjeżdżałem więc smutny i nieswój. Dręczyła mnie myśl, że miesiąc spędzony we Włoszech jest jeszcze jednym paciorkiem nawleczonym na różaniec straconego czasu.

Po co tu przyjeżdżałem?

Piękno tego kraju istnieje i beze mnie. Ani mu dodam, ani ujmę moim podziwem, zachwytem.

Już od dawna wstydziałem się podziwiać piękno. Może dlatego, że pewni ludzie, których nienawidzę i którymi gardzę, zmusili mnie raz kiedyś, bym się wstydził, i ja, zapędzony w kozi róg niewłasnego wstydu, a zawstydzony dodatkowo swoją uległością, przez dumę pozostałem już taki wstydzający się.

Jak pewien mój przyjaciel, który gdy za okupacji został w kawiarni sprany po gębie przez gestapowca, z dumy został wielbicielem Hitlera.

Może zresztą nie chciałem i nie umiałem podziwiać piękna i z innych przyczyn, mniej małostkowych. Po wszystkim, co zdarzyło się w ostatnich wiekach na naszej planecie, czułem się, jako jej mieszkaniec, śmiertelnie znużony wszelką tradycją. Nie mogłem przy tym oprzeć się przekonaniu, że każde piękno jest w mniejszym lub większym stopniu propagandą jakiegoś systemu władzy.

Przepiękne Colosseum służyło do pożerania chrześcijan przez lwy, a wstrząsająca bazylika Świętego Piotra – to triumf owych chrześcijan, którzy dawali się zjadać dla przyszłych pokoleń, a nawet dla szczęścia wiekuistego. Colosseum od Świętego Piotra dzieli w prostej linii parę kilometrów. W połowie tej drogi, na Campo di Fiori, pożerani niegdyś przez lwy chrześcijanie spalili Giordana Bruna. Postawili mu nawet potem za to w tym samym miejscu wspaniałą pomnik.

Doprawdy, ta porcja piękna nagromadzona na tak niewielkim odcinku może przyprawić o potężne mdłości.

Tak więc z różnych przyczyn nie umiałem nacieszyć się bogatym pięknem Włoch, a rola turysty wydawała mi się śmieszna, nie dopasowana do mojej sytuacji prywatnej i ogólnej, nie dopasowana chyba do niczyjej sytuacji.

Coś chyba przetasowało się w świecie, zachwiał się jakiś obowiązujący dotąd porządek ludzkich przeżyć. A ludzie, w których przyzwyczajenie silniejsze jest od świadomości i rozwagi, silniejsze jest nawet od uczucia, krążą jak lunatycy szukając przeżyć i wrażeń, na które dawno już nie ma okoliczności i warunków i które istnieją już tylko jako pozycje w zakurzonym katalogu ze zniszczonego w kataklizmie muzeum.

Czymże jest współczesna turystyka międzynarodowa jak nie daremnym szukaniem pociechy i nadziei niespokojnych drobnomieszczan jednego kraju u zatroskanych drobnomieszczan kraju drugiego?

A więc turystą nie chciałem być i nie mogłem. Powinienem być więc reprezentować siebie jako pisarz. Pisarz, który odwiedza obcy kraj, aby rozszerzyć swoje horyzonty, aby nawiązać kontakty kulturalne, powyciągać różne wnioski ogólne i szczególne, poznać ludzi i obyczaje, stosunki społeczne i polityczne.

Jednakże taka rola wydawała mi się równie sztuczna i fałszywa jak rola turysty. Nie tylko dlatego, że reprezentowanie siebie jako pisarza poza biurkiem uważałem za coś wręcz komicznego. Zawdzięczałem to różnym innym pisarzom składającym krzykliwe oświadczenia, że pisarstwo to szczytne powołanie, dumna służba dla człowieka i społeczeństwa, czemu starali się oni dawać wyraz na każdym kroku. A robili to z takim zapamiętaniem, taką zaciekłością, tak zajadle na tym polu rywalizowali ze sobą, że i w życiu, i w swojej twórczości zatracili wszelkie cechy ludzkie na rzecz absolutnej i powszechnej szczytności powołania. Ale, jak rzekłem, nie tylko dlatego, nie tylko dlatego, że od dawna usiłowałem bronić się przed postawą „pisarza na każdym kroku”, nie chciałem jako pisarz występować w mojej podróży.

Wydawało mi się nonsensem i nietaktem, zdezaktualizowaną komedią podróżowanie pod jakąkolwiek formalną etykietką, a nie w imieniu swoich prywatnych, własnych przeżyć.

Wydawało mi się więc nieprzyzwoitością i głupstwem traktowanie podróży inaczej niż normalnie snującego się wątku najzupełniej własnych przeżyć.

Udać się w daleką podróż?

Tak.

Ale po to, by ścigać zbiegłą z kochankiem niewierną kochankę (o północy, przy księżycu, we florenckim zaułku zasztyletować oboje celnym uderzeniem w serce). By spełnić tajemną a ważną misję w służbie ojczyzny. Albo też, aby ją zdradzić. By walczyć o wolność i społeczne wyzwolenie obcego narodu. By podpatrzeć najnowsze modele kobiecych sukien i sprzedać je firmie „Ewa”. By popełnić coś niesłychanie szlachetnego. By zrobić świństwo.

By zrobić cokolwiek, ale coś, co wiąże jednolicie i konsekwentnie własną przeszłość z własną przyszłością, co stanowi przeżycie, nie takie, którego doznać może za paszportem, wizą i przydziałem dewiz każdy turysta i każdy pisarz, ale tylko Ja, urodzony piątego grudnia 1914 roku, znaki szczególnie: myszka na lewym kolanie.

Stało się jednak, że nie chcąc być ani turystą, ani pisarzem, podróżowałem jako turysta-pisarz, a niepoprawna wiara w cudy kazała mi ufnie oczekiwać, że coś się mimo to zdarzy i nastąpi.

Ale nie zdarzyło się nic, nic nie nastąpiło i oto powracałem smutny i nieswój, z żalem do Włoch, równie nierozsądnym jak żal o brak wzajemności do kobiety, która niczego nam nie obiecywała. Powracałem z uczuciem, jakiego doznawałem kiedyś idąc do szkoły z nie odrobionymi lekcjami.

Pociąg rozpedził się na dobre. Wjeżdżał w tunele i wyjeżdżał z nich gwiżdżąc, turkocząc, czasem zgrzytając.

Postanowiłem iść na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Wprawdzie nie czułem głodu, ale to było mądrzejsze niż stanie przy oknie i spoglądanie na krajobraz, z którym nic mnie już nie łączyło, z którym nigdy nic mnie nie łączyło.

Smutek, niepokój i gorycz poczęły przechodzić w stan łagodnej rezygnacji.

„Ostatecznie, co mi tam? – myślałem – zjem sobie śniadanie, i już.”

Szedłem, lekko zataczając się, korytarzami ładnych, czystych wagonów włoskich i byłem prawie zadowolony.

„Jadę luksusowym, międzynarodowym ekspresem, idę sobie na śniadanie do wagonu restauracyjnego, to co mi tam? Świeci słońce, widać ładne górki, płynie rzeczka, samochody mkną szosą, za dwa dni będę w domu, naopowiadam, zmyślę choćby. Et, co się tam martwić.”

Gdy czasem przyłapie się nagle życie na tępej martwocie, gdy wydaje się, że utknęło pośród nonsensu i bełzadu, dobrze jest wywołać w sobie choćby sztucznie jakąś chętkę, powziąć jakiś zamiar. Nie musi to być nic nadzwyczajnego, ot, lada głupstwo: wypalenie papierosa, zjedzenie cukierka, wykonanie rysunku pana z brodą i wąsami, zejście na dół, by zobaczyć, czy nie ma listu w skrzynce, umówienie się z kimś przez telefon na przyszły tydzień, pójdzie na kawę, kupienie gazety.

Nieważne co. Ważne, że zyskuje się pewien czas, czas oczekiwania. A oczekiwanie wprowadza ład, usypia niepokoje, zagłusza głosy wewnętrznych protestów.

Więc prawie zadowolony poszedłem do wagonu restauracyjnego, po drodze myśl moja krzątała się gospodarnie i zapobiegliwie wokół takich rzeczy, jak biały obrus, masło i bułeczki, manewry kelnera, uslužne i zręczne, wykałaczkę, dźwięk szkła.

To, że nie czułem głodu, nie miało nic do rzeczy.

Wagon restauracyjny był przepełniony. Panowało w nim wielkie i przyjemne ożywienie. Kelnerzy zwinni, przysięgłoby się, rozmiłowani w swoim zawodzie, poruszali się zdumiewająco szybko i tylko cudem nie wpadali na siebie. Zupełnie jak samochody na placu Weneckim.

Brzęczało szkło. Dzwoniły noże, łyżki, widelce. Goście bardzo poruszali łokciami, szczękami, niektórzy nawet tułowiem. Wszystkie te ruchy służyły koniecznemu do życia wchłanianiu kalorii. Panowała raźna atmosfera czynności określonych i zdecydowanych. Panie uśmiechały się, zachowywały postawę pełną wdzięku, towarzyską. Panowie byli swobodni, dowcipni, światowi. Niektórzy rzeczowi, wytrawni, z wykałaczkami w zębach. Rozmawiali o interesach jakby mimochodem i nonszalancko, ot, przy okazji. Zawsze jednak gdzieś tam czujnie przyczajeni, gotowi jak jastrząb spaść zniecka i schwytać ofiarę.

W porównaniu ze zwykłymi wagonami jakżeż odmienna panuje tu atmosfera. W zwykłych wagonach ludzie, poddani z rezygnacją smutnej konieczności podróżowania, trzęsą się monotonicznie. Sennie przerzucają gazety. Bez przekonania gryzą obrane scyzorykiem jabłko. Z gapiowato przechyloną głową, z rozwartymi ustami i mrugając oczami popadają w zadumę nad odległymi, nieciekawymi sprawami, tylko na podróż wydobytymi z zapomnienia.

Sądzę mimo wszystko, że gdyby ożywionym ludziom z wagonu restauracyjnego przyjrzeć się lepiej, zajrzeć im, że tak powiem, pod pokrywkę, okazałoby się, że niejeden przyszedł tu bez apetytu i, jak ja, dla chwilowego choćby odwrócenia uwagi od swej sytuacji życiowej.

Z lewej strony pod oknem siedział mężczyzna, który nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Stała przed nim filiżanka z nie tkniętą kawą, w rękę trzymał ledwie nadgryziony kawałek bułki. Patrzył w okno, zastygły w geście niedojadka, i nie trzeba było zbytniej bystrości na to, by stwierdzić, że nie apeniński krajobraz tak go zafrapował, ale że raczej pod tym pretekstem zagapił się w samego siebie.

Jedyne wolne miejsce w wagonie było akurat naprzeciw niego.

Podszedłem, lekko się skłoniłem i zapytałem uprzejmie:

– *Permettite?* [wł. *Pozwoli Pan?*]

Odwrocił ku mnie głowę raptownie, popatrzył nieprzytomnie i, jakby przyłapany na gorącym uczynku, zaczął jeść bułkę szybko, drobnymi kaskami, nic na moje zapytanie nie odpowiadając.

Zapytałem więc ponownie:

– *Permettite?* [wł. *Pozwoli Pan?*]

– *Bitte schön* [niem. *Bardzo proszę*] – odpowiedział tym razem i zaczął mieszać kawę łyżeczką.

– *Merci* [fr. *Dziękuję*] – powiedziałem i usiadłem.

– *Please [ang. Proszę]* – odpowiedział i, jak gdyby sytuacja wyjaśniła się, przestał mieszać kawę, odłożył bułkę i z powrotem odwrócił twarz do okna.

Popatrzyłem na niego trochę podejrzliwie: tylko Polacy mówią za granicą wszystkimi językami jednocześnie. Możliwe, że on też zastanawiał się jakoś nade mną, bo zerknął na mnie niespodzianie a bystro.

Speszony tak nagłym i intymnym spięciem, wyciągnąłem rękę po menu i spytałem:

– *Vous permettez?* [*fr. Pozwoli pan?*]

Nie odpowiedział, tylko obojętnie skinął głową, a potem zupełnie nagle pożarł nadgryzioną bułkę jednym kęsem, wypił kawę jednym haustem, obtarł usta serwetką i przechyliwszy się trochę ku mnie zapytał po polsku:

– Pan z Warszawy?

– Z Warszawy – odpowiedziałem bez specjalnego zdziwienia – a pan?

– Ja też z Warszawy.

– A to świetnie. Co za zbieg okoliczności.

– Nie taki znowu nadzwyczajny. Zdarza się.

– No, znowu nie za często. Jak pan poznał, że jestem Polakiem?

– A bo to trudno?

W tej chwili podszedł kelner i spytał, co ma mi podać. Poprosiłem o kawę i bułeczki, ale nieznajomy zatrzymał kelnera kładąc mu rękę na ramieniu i powiedział do mnie:

– Wie pan co? A może się czego napijemy? Niech pan lepiej zamówi coś w rodzaju zakąski.

– Hm. Tak od rana?

– Ej, czy pan naprawdę warszawiak?

– No, widzi pan... warszawiak nie warszawiak, ale wracam po miesięcznym pobycie. Rozumie pan, że bez specjalnej nadwyżki dewizowej. A mam zatrzymać się jeszcze dwa dni w Wenecji.

– Niech się pan o to nie martwi – zdjął rękę z ramienia kelnera i poklepał mnie parę razy po dłoni.

W tym włoskim wagonie restauracyjnym zapanowała tak szczerze polska atmosfera, że tylko czekałem, aż kelner odezwie się po polsku:

– No, panowie, wefte albo wefte, zamawiajcie, a jak nie, kupcie se butelkę fruktowitu na najbliższej stacji, bo ja tu nie na waszą wyłączność.

Kelner był jednak Włochem, czekał więc cierpliwie, uśmiechał się uprzejmie i jakby chciał nas milcząco zapewnić, że urodził się tylko po to, by spełniać nasze najdziwniejsze kaprysy.

– Niech pan się o nic nie martwi – powtórzył nieznajomy. – Ja nie zdążyłem jakoś wszystkiego wydać (wydało mi się, że powiedział to z pewną goryczą). Jeżeli zrobi mi pan tę przyjemność i pozwoli się zaprosić. No, no, naprawdę, bardzo pana proszę. Będzie pan na pewno miał okazję nieraz się zrewanżować, o ile pan zechce. No już, nie mówmy o tym, dobrze? *Cameriere*, butelkę grappy, ale tej mocniejszej, i zakąski. Potem zobaczymy.

Zatarł ręce, można było sądzić, że jest ożywiony, zadowolony. Jednak zdawało mi się, że w tym ożywieniu i zadowoleniu kryje się coś bardzo smutnego. Na pozór nie był to już ten sam smętnie zagapiony w siebie człowiek, którego dostrzegłem wchodząc do wagonu restauracyjnego, ale beztrocki bywalec, uradowany widokami wesołej biesiady. Czułem jednak, że to były tylko pozory. Poprzednio, jak ja, z pewnością wywołał w sobie sztuczną chętkę zjedzenia śniadania po to, by wymknąć się ogarniającej go w pociągu martwocie. Gdy z kolei zaczęła dopadać go w trakcie tego śniadania, starał się korzystać ze sprzyjającego przypadku, zafundować sobie nową, efektowniejszą chętkę.

– Grappa – powiedział – przypomina nasz bimber, którego tyle pijało się za okupacji. Najwięcej tutaj lubiłem pijać grappę. Jeżeli jednak woli pan koniak albo whisky...

– Nie, ja też bardzo lubię grappę. Naprawdę przypomina bimber. Smak ma jednak czystszy i łagodniejszy.

– Tak. Bezwzględnie czystszy i łagodniejszy. Zupełnie się z panem zgadzam. Zresztą, moim zdaniem, Włosi nie umieją docenić tego trunku. Czy pan zauważył, że oni nie piją do jedzenia, ale po jedzeniu?

– Co kraj, to obyczaj. Jak pan poznał, że jestem Polakiem?

– A bo to trudno? Zresztą widziałem pana na dworcu w Rzymie i słyszałem, że rozmawia pan po polsku z kimś, kto pana odprowadza.

– Ach, to przyjaciel, który pracuje w ambasadzie.

Rozmowa nie bardzo się kleiła. Ale za chwilę kelner przyniósł grappę. Nieznajomy powiedział:

– No to siup.

Ja powiedziałem:

– No to bęc.

Zrobiło się trochę różniej.

– Wie pan – powiedział nieznajomy – siedziałem przy tym śniadaniu i nagle wszystko wydało mi się obce i nieprzyjazne. Ta włoska kawa i włoski krajobraz, i włoskie bułeczki, i ci Włosi dokoła. Pomyślałem sobie: „Ej, przydałoby się posiedzieć tu z wesołym kompanem, bratnią polską duszą.”

Zastanawiałem się, kim jest. Jego gadanie mogło wydawać się płaskie i pospolite. Czułem jednak, że on zagaduje samego siebie, że rozpaczliwie odpędza jakieś myśli, szuka ratunku w niewłasnej postaci, zasłyszanej i wypożyczonej jak kostium karnawałowy.

Niespodzianie znowu posmutniał, zamyślił się, pochylił głowę, siedział tak z pochyloną głową, odseparował się całkowicie ode mnie, mogło się zdawać, że przestał się w ogóle liczyć z moją obecnością. Odczułem to nawet trochę jako afront. On wszelako musiał być człowiekiem delikatnej natury, bo zaraz się połapał, głowę unióś i z uśmiechem trochę jeszcze smętnawym, przybłąkanym z gąszczów osobistych i intymnych rozmyślań, powiedział:

– Niech mi pan wybaczy roztargnienie. Taki mam głupi zwyczaj, że raz po raz zamyślam się nie wiadomo nad czym, ale to naprawdę nie ma znaczenia.

Był delikatny. Chciał mnie przekonać, że stan podniecenia i zachwianej równowagi nie wynika z doraźnych gwałtownych przeżyć, ale jest zwykłym i naturalnym sposobem bycia. Nie zamierzał więc narzucać się ze zwierzeniami, o co, jako Polaka napotkanego w wagonie restauracyjnym, łatwo by go można podejrzewać. Nie. On naprawdę sprawiał wrażenie, że robi wszystko, by wydać się naturalnym i zrównoważonym, by nie zostać posądzonym o dramatyczność.

Jego wysiłki były jednak daremne. Nie ulegało kwestii, że jeżeli przeżyłem w tej podróży za mało, to on przeżył o wiele za dużo.

„Oto – pomyślałem sobie – przesytność i niedosyt spotkały się przy biesiadnym stole w stanie równego rozdrażnienia. Gdyby dało się tak w jakiś sposób, choćby metodą nacisku administracyjnego, coś wzajem wymienić, jakoś niedobór i nadmiar wzajem zrównoważyć.”

I nagle przyszła mi do głowy niezwykła, być może rozpaczliwa trochę myśl:

„Wracam z podróży z pustą głową i niemal z pustym sercem. Wracam jak uczeń, który idzie do szkoły z nie odrobionymi lekcjami. A co robi uczeń, który nie odrobił lekcji?

Odpisuje z zeszytu kolegi.

Jeżeli w najpiękniejszym kraju świata nie stać mnie było na własne przeżycia, cóż pozostaje mi innego, jak skorzystać z cudzych? Biedną, wychudzoną szkapę tęsknot napoić przy cudzym źródle, skoro własne wyschło.”

Jakżeż szybko niejednokrotnie zmieniają się w życiu nasze zamiary, aspiracje, roszczenia. Jeszcze przed chwilą zastanawiałem się, jak wykręcić się, gdyby mojemu

towarzyszowi podróży przyszła chętka na zwierzenia. Teraz zastanawiałem się z kolei, jak by go do tych zwierzeń sprowokować.

Mimo wszystko nie poszło to trudno. Zapewne i grappa stała się moim sprzymierzeńcem.

A gdy wysiedliśmy na stacji w Wenecji, gdzie on miał przesiąść się do slipingu na Wiedeń, a ja zgodnie z zamiarem pozostać jeszcze dwa dni, trzymał mnie na peronie za guzik i mówił, opowiadał, tłumaczył nieprzerwanie. Długo jeszcze po odejściu wiedeńskiego pociągu. A nie tylko nie rozpoczął dziejów swej podróży, ale wydostawał się ledwie ze wspomnień dzieciństwa.

Gdy zwróciłem mu wreszcie uwagę, że pociąg jego już dawno odszedł, machnął z lekceważeniem ręką i odpowiedział sentencjonalnie:

– I ten, i wszystkie inne. Co się tam przejmować. Zostaję, z panem. Czyż Wenecja nie istnieje już tylko po to, by niewydarzeni pielgrzymi mogli opowiadać sobie szeptem przy księżycu dzieje zawiedzionych nadziei? Cha, cha, cha! Zstępuj pan ze mną do gondoli, płyn, barko moja! Ani te kanały, ani te pałace nie słyszały jeszcze tak smutnych zwierzeń, nie widziały tak tragicznego kochanka! Cha, cha! Naprzód, gondolierze!

Przeklęta Wenecja. Wszystko na świecie rozwija się i przemienia. Ona jedna jest od wieków taka sama i ta sama. Przeklęte piękno uniesione tak prostą a diabelską sztuczką ponad wszelki czas. Miasto, które nie ma już w świecie żadnego usprawiedliwienia, a zadrecza piekielnymi katuszami, jakich nie wymyśliłby najokrutniejszy doża, tych wszystkich, którzy biegną zadyszani za wymykającą się im wiecznie z rąk tęsknotą. Miasto, które idiotycznym parom kochanków, ofiarowuje perfidnie chwile największego szczęścia po to, by tym bardziej zdruzgotać jedno z nich lub oboje w chwili klęski. Którego Pan Bóg nie powinien był pokazać ludziom. Które budzi najwyższe pragnienie najbardziej własnych przeżyć, a w którym wsłuchiwać się trzeba w cudze.

Podobno z każdym rokiem Wenecja zapada się o parę centymetrów i grozi jej zagłada. Niech jak najprędzej pochłonie ją morze!

Siedem zdarzeń

Henryk Szalaj – mój przygodny znajomy z wagonu restauracyjnego – uważał, że siedem zdarzeń między piątym a dwudziestym rokiem życia wywarło decydujący wpływ na formowanie się jego charakteru i usposobienia. A więc na jego losy.

Charakter i usposobienie, uformowane już, tworzą siłę witalną piekielnej mocy, z którą daremnie nieraz usiłuje potykać się nasza bezstronna świadomość oraz to, co przywykliśmy nazywać rozsądkiem.

Sam niedawno doświadczyłem tego na sobie: otóż mam usposobienie trochę kłótlive, jestem nieco porywczy i zdarza mi się czasem wdawać w zupełnie niepotrzebne awantury. Nie mając często racji, narażam się przy tym na śmieszność. Niedawno w pewnej instytucji spotkało mnie coś, co uważałem za wysoce dla siebie krzywdzące. Być może, iż krzywda spotkała mnie istotnie, ale była to w każdym razie krzywda wynikająca z układów bardzo ogólnych i zasadniczych, której nikt z urzędników tej instytucji nie mógł naprawić ani nie mógł za nią odpowiadać. Zdawałem sobie z tego jasno sprawę. A przecież jakaś przemożna siła pchała mnie ku awanturze. Bezstronna świadomość i rozsądek obserwowały mnie z niepokojem i starały się wpłynąć na mnie uspokajająco:

– Człowieku – szeptały mi – zdobądź się na wysiłek i czym prędzej opuść ten gmach. Po co znowu popadać w błazeństwo i głupotę?

Przyznawałem im całkowitą słuszność, a jednocześnie chodziłem po korytarzach i szukałem kogokolwiek, przed kim mógłbym wystąpić z moimi pretensjami.

Zdawało się, że nawet los chce uchronić mnie przed śmiesznością, nie mogłem bowiem nigdzie znaleźć ani dyrektora, ani jego zastępcy, ani naczelnika, ani w ogóle żadnego urzędnika z tego resortu. Wszyscy poszli sobie gdzieś na miasto. To rozdrażniło mnie wprawdzie jeszcze bardziej, ale jednocześnie sprawiło mi ulgę. Już schodziłem po schodach ku wyjściu, gdy nagle, do dziś nie wiem, jak i kiedy się to stało, zawróciłem, wszedłem w pierwsze lepsze drzwi jakiegoś resortu, nie mającego żadnego związku z moją sprawą, i tam – wobec nie znanych mi i nie znających mnie osób – odegrałem historyczną scenę: już to żaliłem się płaczliwie, już to ciskałem pogróżki nie wiedzieć pod którym adresem, siliłem się nieudolnie na zjadliwość i ironię, przedstawiałem zupełnie prywatne, a nawet intymne szczegóły mojego życia, czyniłem niejasne aluzje, których nikt z tych ludzi nie mógł, rzecz jasna, zrozumieć.

Napotkałem głębokie milczenie i spojrzenia pełne politowania. Gdy wychodząc zamykałem z hałasem drzwi, usłyszałem za sobą szczery i gwałtowny wybuch wesołości.

Natychmiast też za drzwiami pomyślałem sobie: „Znowu się wygłupiłem. I na co mi to było?”

Henryk Szalaj uważał, że siedem zdarzeń wywarło decydujący wpływ na formowanie się jego charakteru i usposobienia.

1

Pewnego wieczora Henryk siedział po kolacji na kanapie w salonie i oglądał wielki album z kolorowymi fotografiami, zatytułowany *Autour du monde* [fr. *Dookoła świata*]. Miał wtedy pięć lat. Zdjęcia w albumie były wspaniałe i niezwykle różnorodne: wodospad Niagara, krokodyle w Nilu, meczet Aja Sofia, Avenue de l'Opéra w Paryżu, drapacze chmur w New Yorku, pałac schönbruński w Wiedniu, most Karola w Pradze, Mount Everest, widok na wyspę San Giorgio z piazzety w Wenecji przy księżycu i różne podobnie niezwykle rzeczy.

Henryk znał ten album na pamięć. Oglądał go parę razy dziennie, ale za każdym razem doznawał tych samych emocji i snuł wciąż inne marzenia o dalekich podróżach, które będzie odbywał, gdy dorośnie.

Lubił też bardzo stawać wieczorem przy oknie, patrzeć na dymy unoszące się nad Dworcem Głównym, nazywanym wciąż jeszcze Dworcem Kolei Wiedeńskiej, wsłuchiwać się w gwizd lokomotyw, stukot jadących pociągów. Mieszkali na trzecim piętrze w Alejach Jerozolimskich, prawie naprzeciw dworca, niedaleko hotelu „Polonia”. Henryk bardzo też lubił przechodzić koło tego hotelu, szczególnie wieczorem, kiedy z oświetlonego hallu padały na ulicę jaskrawe światła.

Dworzec Kolei Wiedeńskiej i hotel „Polonia” stanowiły żywe uzupełnienie nastrojów zawartych w albumie *Autour du monde* [fr. *Dookoła świata*].

Owego wieczoru siedział jak zwykle po kolacji na kanapie w salonie z albumem *Autour du monde* na kolanach. Szklane drzwi łączące salon z pokojem stołowym były szeroko rozwarte. Po pokoju stołowym krzątała się matka. Co chwila patrzyła na zegarek i nuciła coś głośno pod nosem. Za głośno. Tak nucimy, gdy czujemy jakiś niepokój, przekonani, że to nucenie odwróci od nas wszelkie w tym względzie podejrzenia.

Nagle rozległ się zgrzyt klucza w zamku, po chwili słychać było, jak ojciec rozbiera się w przedpokoju. Matka przystanąła i znieruchomiała na moment. Wydawało się, że jej niepokój nie rozproszył się, ale wzrósł.

Wszystkie takie okoliczności uświadomił sobie Henryk oczywiście dużo później.

Ojciec wszedł posępny, trochę uroczysty.

– Co ci jest? – spytała natychmiast matka.

– Jak to: co mi jest? Niby co miałoby mi być? – powiedział ojciec głosem monotonnym, znużonym. W tym pytaniu nie drgała ani irytacja, ani zaczepka.

Usiadł przy stole i podparł głowę rękami. Matka westchnęła cicho.

– Zjesz coś? – spytała bez przekonania.

Nie odpowiedział. Potrząsnął tylko głową, nagle skrył ją w dłoniach i zaczął płakać.

Płakał bezgłośnie, trzęsły mu się ramiona.

Ale Henryk wiedział, że to jest płacz. Pierwszy raz w życiu zobaczył ojca płaczącego. Poczul, że oblewa go nieznaną, jakiegoś szczególnie przykre gorąco i że cierpną mu plecy. Znieruchomiał nad albumem.

Matka podeszła powoli do ojca i objęła go za głowę.

– No, co ci jest? – szepnęła – no, uspokój się. Powiedz wreszcie, co ci dolega? Przecież widzę od paru dni... No, cicho, cicho, Henio widzi i słyszy, co się dzieje. To niedobrze.

– Henio – zaszlochał ojciec – to właśnie z jego powodu.

Matka roześmiała się. Można by przypuszczać, że spadł jej z serca jakiś ciężar.

– A czegoś ty chcesz od niego? Taki jest ostatnio greczny i spokojny.

Henryk chciałby zmaleć, skurczyć się na swojej kanapie, ale nie potrafił ani drgnąć.

– Właśnie! – zawołał ojciec. – Właśnie! Za greczny, za spokojny. Tak się boję, że nic z niego nie wyrośnie, że niczym w życiu nie będzie.

– Ach, co za głupstwa nagle! Jakie masz do tego podstawy?

– Nie mam żadnych podstaw. Ale wydać na świat dziecko, obdarować życiem jakąś istotę! Ta odpowiedzialność! Czy ja robię wszystko, by został kimś w życiu?

– Och, ty – matka znowu roześmiała się, wzięła w dłonie głowę ojca, odchyliła ją i popatrzyła mu chwilę w oczy. – Jesteś ostatnio przewrażliwiony. Za dużo masz trosk, kłopotów, przemęczyłeś się pracą. Stanowczo powinieneś odpocząć, wyjechać gdzieś.

– Wyjechać! – krzyknął ojciec jakby z rozpaczą i nadzieją. – Wyjechać!

Matka zadzwoniła. Za chwilę weszła służąca.

– Proszę, Franiu, położyć spać Henia, już późno. Heniu, chodź powiedziec nam dobranoc.

Henryk siedział pochylony nad oblaną księżycem Wenecją i bał się, że jeżeli choćby drgnie, stanie się coś przeraźliwego, coś, czego nie da się przewidzieć ani objąć rozumem.

Matka podeszła do niego, wzięła go na ręce i pocałowała.

– Jaki jesteś rozpalony – powiedziała – może źle się czujesz?

Potrząsnął głową. To kosztowało go wiele wysiłku. Matka zamyśliła się chwilę, a potem sama zaniósła go do pokoju, rozebrała i położyła spać.

W tym wszystkim jedno było jasne i oczywiste: nic z niego nie wyrośnie. A więc nie będzie podróżował, nie będzie miał żadnych praw do korzystania z podziwu godnych przywilejów, jakie przysługują dorosłym. Na drugi dzień podarł obrazek, który zaczął rysować. Miał on przedstawiać pana w meloniku podzucającego do góry pudełko zapalek z napisem: „Błonie”. Było to zamierzone jako reklama tej fabryki. Przestały go interesować zabawki, nie wiedział, co z nimi robić. Wszystko, co zaczynał robić, wydawało mu się nieudolne, głupie i zbyteczne. A przedtem jeżeli postawił jeden klocek na drugim, uważał to już za coś nadzwyczajnego, zwoływał wszystkich, by przyszli go podziwiać, napraszał się pochwał. Dawniej marzył o tym, by jak najprędzej być dorosłym. Teraz drżał przed tym. Każdy upływający dzień przejmował go strachem. Budziła się w nim trwoga przemijania. Może jeszcze nie wobec życia, lecz tylko wobec dzieciństwa. W końcu to na jedno wychodzi. Za krańcami dzieciństwa kryła się nicność.

Dużo później zrozumiał, że ojcu ani przez chwilę nie przyszło poważnie do głowy, by martwić się o to, iż on, Henryk, nie będzie niczym w życiu. Chwytał się jego imienia półświadomym odruchem, jak pijany, który straciwszy równowagę, chwyta za róg serwety. Upadając ściąga serwetę i tłucze się z brzękiem porcelanowa zastawa.

Imię Henryka stanowiło dla ojca tylko naiwny pretekst dla ukrycia prawdziwych przyczyn smutku i niepokoju.

Z perspektywy lat takie odkrycie mogło mieć już tylko sens historycznej pamiętki. Nie mogło cofnąć tego, co się w Henryku przez to nagromadziło.

Owego wieczora młodszy o trzy lata brat Henryka, Janek, dawno już spał. Henryk myślał sobie czasem, że gdyby to on wtedy spał, a Janek siedział na kanapie i oglądał *Autour du monde*, ich losy potoczyłyby się odwrotnie. Zdawał sobie sprawę z absolutnej nonsensowności tej myśli. Nękała go jednak i często nawiedzała.

A kiedy później w szkole usłyszał historię o Jakubie i Ezawie, zafascynowało go w niej jakieś podobieństwo do niego i do Janka. Nie umiałby tego uzasadnić ani logicznie wyjaśnić, ale miał silniejsze od wszelkiej logiki, żywiołowe przekonanie, że tamtego wieczora zostało przehandlowane jego prawo starszeństwa.

Kiedy zaś pewnego dnia, w tym właśnie czasie gdy dowiedział się o Jakubie i Ezawie, podano na obiad soczewicę, odsunął manifestacyjnie swój talerz, chcąc w ten sposób dać odczuć rodzicom ich biblijno-kulinarny nietakt.

Niejedno nieporozumienie między nami a otoczeniem wynika stąd, że owładnięci i rozfanatyzowani jakąś manią bardzo osobistą i stanowiącą potężne władztwo jedynie w naszym wewnętrznym i nieprzetłumaczalnym świecie, zachowujemy się tak, jakby była ona jasna, rozumiała i zupełnie oczywista dla wszystkich dookoła.

Henryk odsuwając gwałtownym i niekontrolowanym ruchem talerz z soczewicą uderzył o filiżankę z kompotem, filiżanka przewróciła się i kompot rozlał się na czysty obrus. Jedynie ten fakt zarejestrowała rzeczywistość i – nie wdając się w szczegóły wewnętrznego życia Henryka – ogłosiła oficjalny komunikat stwierdzający rozkaprzenie, niedopuszczalne maniery i karygodną nonszalancję. Henryk musiał do końca obiadu stać w kącie. Gdy patrzył stamtąd na Janka, który ze smakiem i niczym nie zakłóconym spokojem zajadał soczewicę, rozproszyły się w nim wątpliwości co do tego, że w podstępny sposób zostało przeschrowane jego prawo starszeństwa.

Na marginesie nasuwa mi się taka oto uwaga:

Jakżeż ufać biologii? Henryk bardzo lubił soczewicę. Od tamtego czasu nabrał do niej wręcz idiosynkrazji, mdliło go na sam jej widok.

Dużo później, ilekroć wspominał sprawę Jakuba i Ezawa, to tylko jako dziecinną śmiesznośćkę.

Ale soczewica już nigdy mu nie smakowała.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI